

TEATR

Egz. bezpłatny

WYBRZEŻE

GDAŃSK • GDYNIA • Sopot

ALEKSANDR FREDRO

DAMY I HUZARY

1963/64

PREMIERA

dnia 14 lutego 1964
w Teatrze Kameralnym
w Sopocie

Dyrektor:
ANTONI BILICZAK

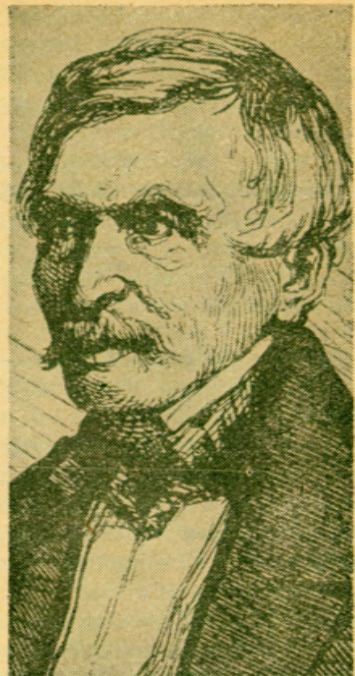
Kierownik artystyczny:
JERZY GOLIŃSKI

Kierownik literacki:
RÓŻA OSTROWSKA

Projekt okładki:
Liliana Baczevska

Zdjęcia:
Tadeusz Link

Aleksander Fredro *1793 †1876
rys. Wł. Łuszczakiewicz 1840
fragment



PRZYGODA W DREZNIE

Są wszędzie arcyksiężęta, arcybiskupi, w Galicji jest nawet arcystolnik, ale nigdzie nie ma arcyciury — a tym powinien być par droit de conquête et par droit de naissance mój Onufry. Wysoki, pleczysty, chciwy łupu, skory do kieliszka równie jak i do bójki, kiedy odbierał rozkazy, wyprężał się jak struna, brzuch w tył, pierś naprzód, stawał skosem jak Pizańska wieża. Odpowiedź jego była zawsze: „Słucham”. Bał się kozaków jak diabeł święconej wody. Wszystko to kazalo wnosić z niejaką pewnością, że był kiedyś w rosyjskiej służbie i że nie dopełnił potrzebnych formalności przy podaniu swojej dymisji. Jeżeli kto schylony nad jakim rauptmanem lub praporszczykiem, co już nigdy nie ujrzy ojczystej zagrody, ściąga z niego to, czego ściągnąć własni nie zdołali koledzy, albo sylabizuje po szwach i zakładach najmniejszej odzieży, czy nie doczyta się gdzie zaszytego dukata lub talarka, to pewnie Onufry. Jeżeli kto szuka furazu nie w stajni, nie w stodołę, ale po kufrach i szufladach, to pewnie Onufry. W Dreźnie przyjąłem go i tydzień nie minął, już stał się powodem niemałego dla mnie kłopotu... Powiem prawdę, rzuciwszy wszakże na nią lekką gazę przyzwoitości, na jaką stać tylko może starego ułana.

Jednego wieczora, było to w Saksonii, w Dreźnie, w obery pod Jeleniem, gdzie stałem kwaterą. Onufry poszedł do Rezli, szubmadli, i zawołał czystą niemiecczyną: „Na — top!” — Dziewczyna rozśmiała się i przedrzeźniać zaczęła. — „Czego się śmiejesz, małpo?” — krzyknął luzak po polsku — nie rozumiesz, co: Na — top?” — Od słowa od słowa, aż boli głowa, powiedziałby pan Jowialski, bo Onufry postąpił sobie nareszcie z Rezlą jak ów gminną piosnecką wstawioną z Małgorzatą Grzegorz, ale Rezla zamiast zawołać: Czegóż? — walnęła go w łeb lichtarzem. Ze zaś świeca w tym czasie zgasnąć musiała, ciemnota pokryła tę część historii. Ze jednak coś padło z jednej i drugiej strony, wątpić nie można.

Kiedy to wszystko działo się na dole, ja na drugim piętrze spokojnie kończyłem wieczerzę z kolegą kapitanem Maciejowskim. Rozmawiamy sobie o tym i o owym — wtem... otwierają się drzwi i Onufry wpada. Twarz zarydzona, nozdra sapiące, kawał knota na czole powiadały wyraźnie, że walka była gdzieś stoczona i że spieszny odwrót ma miejsce. Nim jeszcze słowo mogło być wyrzuczone, wbiegł hausknecht ze świecą w rękę, a za nim sam pan gospodarz. — „Wo ist er?” — „Da steht er!” I już luzak wziął w papę, aż nosem pociągnął. Wtenczas to wymknęło mi się, co się tak łatwo z ust polskich w podobnym razie wymyka: „A walże!” — Nie potrzeba było mówić dwa razy. — Onufry jak Niemca utnie... Ach, co za szkoda, że dla przyzwoitości stylu nie mogę powiedzieć: „jak utnie w pysk!” — bo w tym, acz gminnym, wyrazie leży tyle prawdy, tyle nawet naśladowczej harmonii — ale nie wypada, nie można, więc powiadam, Onufry jak utnie Niemca gdzieś między nosem a uchem... aż szyby brzękły — Shön! Niemiec zwinął się, zatoczył i chylcem, zygzakiem jak lis postrzelony leciał, leciał i aż w przeciwnym rogu padł na kanapę. A nim się zerwać zdołał, już Onufry leżał na nim. — Jeżeli kto aby raz w życiu widział niedźwiedzia idącego w hurku, kiedy schwyci pod siebie jednego z kundli, a kiedy mu drugi tymczasem szarawary skubie, łatwo wystawi sobie walczącą grupę. Hausknecht, krzyżąc w niebogłose, usiłował ściągnąć ze swojego pana zajadłego nieprzyjaciela, ale jedną tylko ręką, bo w drugiej trzymał świecę, a świeca kosztuje einen Groschen... a on za świecę odpowiada... porządek przede wszystkim. Chwyciłem go wreszcie za kołnierz i nogą za drzwi pchnąłem, zostawiając wolny bieg sprawiedliwości. Wkrótce jednak zląkłem się, bo Sas już głosu nie puszczał — zląkłem się, czy przypadkiem za mocne uderzenie nie straciło filigranowego niemieckiego karku. Zawołałem: „Dość tego!” — I w mgnieniu oka stał przede mną Onufry, brzuch w tył, pierś naprzód skosem jak Pizańska wieża. Pan gospodarz podniósł się, kręcił się w kółko i byłby pewnie do drzwi nie trafił, gdybyśmy mu nie byli w tym względzie przyszli w pomoc. — Skończył się

akt pierwszy. Ale. cóż dalej? Otwierano i zamykano z trzaskiem i hałasem ledwie nie wszystkie drzwi w całym domu... biegano po schodach i gankach... Oczywiście chmura się zbierała. My zaś już w pół rozebrani wzięliśmy czym prędzej mundury na siebie, pałasze do boku, kapelusze na głowy. Nie można było bowiem ręczyć, czy lokatorowie, po większej części krajowcy, nie zechcą przekroczyć praw grzeczności, czy nie chwycą sposobności bicia albo i ubicia francuskich oficerów.

Sasi nas nie lubili i nie tylko że nie lubili, ale byliby chętnie całą naszą armię z Cesarzem na jej czele w łyżce wody utopili, gdyby tylko mogli byli taką łyżkę znaleźć. Nie ma się czemu i dziwić. Ów ciągły menuet wojsk wszystkich narodów — od Portugalczyka do Czerkiesa, od Neapolitańczyka do Lapończyka — po całej pięknej Saksonii nie mógł ich ani bawić, ani uszczęśliwiać. Byliśmy w kraju arcynieprzyjacielskim, o tym trzeba było zawsze pamiętać i o tym nie zapomnieliśmy teraz, stojąc frontem ku drzwiom, za którymi coraz liczniejsze, coraz burzliwsze i coraz bliższe wznosiły się głosy. Niepewność często nieznośniejsza od złego. Otwieram więc drzwi i obraz godny pędzla Hogartha widzę przed sobą. Kilkanaście osób różnego wieku i różnej płci w nocnym stroju, czyli raczej rozstroju, w szlafmycach, pantoflach (szlafroków nie było), świeca w rękach, a gdzieśgdzie i kij, blade i drżące z gniewu i trwogi wlepiało we mnie wytrzeszczone oczy. Nie tracę czasu... korzystam z pomieszania i jak Bonaparte ośmnastego Brumaire do Rady Pięciuset, wstępuję do sieni. A żółty krawiec stojący na przodzie mógł być zawołać jak Arena: Ici des sabres! Wstępuję do sieni i odzywam się grzmiącym wprawdzie głosem, ale mało co lepszą niemiecczyną jak przed chwilą mój Onufry: „Idę do komendanta placu oznajmić, że w tym domu napadnięto kwaterę oficerów sztabu cesarskiego”. Rzekłem, spuściłem pałasz po ostrogach... szeregi się rozstały... a ja z brzękiem i szczękiem triumfalnie zszedłem ze wschodów... W samej rzeczy chciałem uprzedzić komendanta... nie zastałem go... czekałem... chodziłem, sam nie wiedząc, co robić... nareszcie po godzinie czasu wróciłem do domu — wszystko było cicho.

Nazajutrz postawiono nam kawę. Nie spieszyliśmy się do niej. Spojrzeliśmy po sobie. Jeden zagwizdał, drugi zaśpiewał — jeden powąchał, drugi skosztował... A ba!... wymówiliśmy razem i kawa spożyta została. Niespokojny jednak idę do generała Bleszyńskiego, adiutanta króla saskiego, dawnego znajomego, a niegdyś i sąsiada rodziców moich. Zwierzam mu całe zdarzenie i proszę o radę. Generał słuchał mnie i golił się razem, podstrugując sobie wąsiki z najsumienniejszą precyzją i podług potrzeby wykrzy-

wiając twarz, nadymając policzki, albo wypychając językiem wierzchnią wargę, puszczał przez zęby przerywane słowa: „Żle!... hm, hm... bardzo źle... nie ma co żartować... skarga może łatwo dojść do króla... Król odda Cesarzowi... Cesarz jest dla króla nad miarę uprzejmy i gdzie idzie o karność wojska, dla winnych bez litości”, — „Ależ ja — rzekłem — nie wykroczyłem przeciw karności”. — „Hm — mówił dalej generał, macając sobie brodę, czy jeszcze gdzie nie zostawił siwego włoska — zapewne nie wykroczyłeś, ale ogólnie armii jest przykazane dobrze obchodzić się z mieszkańcami, a sam przyznasz, że twój służący...” — „Bronił się” — przerwałem. — „Tak, zapewne, bronił się — rzekł generał i złożył brzytwę — ale pod armatami nieprzyjacielskimi nie ma czasu procesu wytaczać... Dla przykładu wiele się czyni... Właśnie niedawno z powodu zażalenia poddanego na ręce króla, Cesarz kazał jednego oficera z kontroli wykreślić. Radzę ci zatem, załagodz tę sprawę”.

(Aleksander Fredro „Trzy po trzy”)

Wspominają sobie te wiarusy-huzary o jakiejś niezbyt dawnej wojnie, z przebiegu jej wydobywają pewne konkretne szczegóły. Major jej ledwie nie przepłacił życiem, ocalenie zawdzięcza udanej odsieczy swego subalternego, Porucznika. Ale to nam o niczym jeszcze nie mówi. Wyraźniejsza jest przygoda, jaka się wtenczas przytrafiła ojcu Zosi, heroiny utworu. Ogarnęła go razem z córką jakaś pładująca wataha nieprzyjacielska, ale i jego uratował tenże sam młody oficer, Edmund, w komedii właśnie szlachetny aspirant do ręki Zofii.

Widzimy stąd, że wojna toczyła się w kraju, na polskiej ziemi. Odziały polskie i nieprzyjacielskie przeganiały się z miejsca na miejsce, te te grabiąc i pałac, tamte depcąc im po piętach. Ostatecznie nieprzyjaciel został pokonany i wypędzony z kraju. Wojna się skończyła zwycięstwem, rany się zabiłiły, sztab pułku, a przynajmniej część jego, może uzyskać urlop, by użyć wczasów i pożytków pokoju.

Wojna taka przed rokiem 1825, datą powstania komedii, mogła być tylko jedna: wojna Księstwa Warszawskiego z Austrią w r. 1809, zakończona zwycięstwem, tryumfalnym zajęciem tzw. Galicji przez armię księcia Józefa. Akcja „Dam i huzarów” toczyłaby się w takim razie na ziemiach należących dawniej do zaboru austriackiego, w jakiś, powiedzmy, rok po tych wypadkach, a dobrze przed r. 1812, zatem około 1810, a bliższym jej terenem byłaby Lubelszczyzna, odebrana wówczas Austrii i w uniesieniu radości doznająca, jak miła jest sercu wolność odzyskana.

To domniemanie poparto ostatnimi czasy dowodem. M. Plezia przypomina, że w armii Królestwa Kongresowego nie było formacji huzarskich. Natomiast w wojsku Księstwa Warszawskiego było ich dwa pułki, mianowicie „złoci” pod pułkownikiem Umińskim i „srebrni” pod pułkownikiem Tolińskim. Do któregoś z tych pułków mogli przynależać nasi „huzary”: Major i Rotmistrz, Porucznik i ks. Kapelan.

Pochlebstwo ma w sobie osobliwy przysmak; chociaż go kto odrzuca, przecież ono smakuje.

And. Maks. Fredro

ALEKSANDER FREDRO

DAMY I HUZARY

Komedia we trzech aktach, prozą

O s o b y :

Major	}		Kazimierz Talarczyk
Rotmistrz		} pułku huzarów	Lech Skolimowski
Edmund, porucznik			na urlopie
Kapelan			Kazimierz Iwor
Pani Orgonowa	}	siostry majora,	Lucyna Legut
Pani Dyndalska		jedna starsza	Anna Chodakowska
Panna Aniela		i grubsza od drugiej	Zofia Mayr
Zofia, córka Pani Orgonowej			Elżbieta Goetel
Józia	}		Barbara Patorska
Zuzia		} służące	Maria Gerhard
Fruzia			
Grzegorz	}		Henryk Sakowicz
Rembo		stare huzary	Eugeniusz Lotar

Scena w domu Majora, na wsi.

Scenografia:
ALI BUNSCH

Reżyseria
STANISŁAW MILSKI

Aktualna obsada na tablicy w hallu.



Powodowany względami kolorystycznymi, scenograf postąpił się mnudurem huzarów złotych (pułk 10-ty).

Nie trudno nawet powiedzieć do którego, trzeba tylko zajrzeć do historii owoczesnych polskich formacji wojskowych.

Ten drugi, 13 pułk jazdy Księstwa Warszawskiego, formował się w Lubelskiem w drugiej połowie 1809 r. i dnia 3 stycznia 1810 r., już gotowy, składał przysięgę w Siedlecach, stacjonował jakiś czas w Warszawie, a od początku czerwca t. r. rozkwaterowany został na Podlasiu i w Lubelszczyźnie; to był właśnie okres jego czasów. W r. 1812 odznaczył się pod Smoleńskiem, Możajskiem i niejednokrotnie jeszcze, w r. 1813 został rozбитý w Saksonii, a resztki jego dostały się do niewoli austriackiej. Znamy jego dowódcę, pułk. Józefa Tolińskiego (zginął w r. 1813, a dowództwo po nim objął Józef Sokolnicki), i sztab, np. majorów: Michała Pągowskiego, Aleksandra Oborskiego i Wacława Gutakowskiego.

Ze o ten pułk rzeczywiście tutaj chodzi, że któryś z tych majorów dostarczył może komediopisowi jakichś rysów charakteru, co do tego nie ma najmniejszej wątpliwości. Dowodu bezpośredniego dostarczy nam „stan służby” wojskowej naszego autora. Oto 23 stycznia 1810 r. z 11 p. jazdy przydzielony został do tego właśnie pułku huzarów „srebrnych” porucznik Aleksander Fredro. Przynależał doń przez kilka miesięcy. Kolegował zatem w służbie z porucznikiem Edmundem.

Rozumiemy teraz, że cała komedia jest aktem sentymentu autora, serdeczną, choć żartobliwą wypłatą długu wdzięczności w stosunku do dawnych dowódców i kolegów pułkowych. To przecież rozstrzyga i o czasie, i o miejscu, i o środowisku akcji utworu.

Do tych dowodów rzeczowych można by dorzucić jeszcze jeden, pokroju psychologicznego. Rok 1809 to dla Aleksandra Fredry data najważniejsza, najpamiętniejsza z całego przeciągu dziejów: miał wtedy lat 17, po raz pierwszy wdział mundur, polski mundur, i dostał szlify oficerskie. „Wówczas — wspomni po latach z rozrzewnieniem — z Olesia wyrosłem na pana Aleksandra”. Stał się w ten sposób świadkiem i uczestnikiem niezapomnianego wybuchu entuzjazmu patriotycznego całej dzielnicy. I on mógł powiedzieć: „ja taką jedną wiosnę miałem w życiu”. A wrażeń wiosny tej zaznał on przez czas dłuższy; w tamtych właśnie stronach stacjonując na własne oczy patrzył do syta na ową radość i sam w niej z ochotą uczestniczył. Czyż ma nas dziwić, że z tymi właśnie wypadkami powiązał, że w tych latach i w tamtych stronach osadził akcję najweselszej ze swych komedii?

(Stanisław Pigoń „W pracowni Aleksandra Fredry“ W-wa, PIW, 1956)

Diugi czas Fredro był dla mnie zjawiskiem prostym, jak coś co się zna i kocha od dziecka. Umiałem go na pamięć, zanim zacząłem myśleć. Do komedii t. zw. pośmiertnych nie miałem nigdy tego sentymentu, może dlatego, że poznałem je znacznie później. Te pierwsze, od „Nowego don Kiszota” do „Zemsty”, wyczytywałem zwłaszcza na wsi, gdzie spędzałem wakacje, a gdzie biblioteka, bogatsza zapewne w dzieła rolnicze, z beletrystyki, oprócz kolekcji starych „Kalendarzy Czecha”, zawierała bardzo niewiele: owe pięć tomów Fredry i „Ramotocki” Wilkońskiego były oazą na pustyni. Wydanie Fredry było stare; niektóre sceny czyjs ołówkę opatrzył krzyżykami: mam wrażenie, że to były sceny, których pannom — Anielom i Klarom poprzedniej generacji — nie wolno było czytać. Ufano ich lojalności.

Nasiąkałem tedy Fredrą w atmosferze bardzo jeszcze bliskiej jego komedii. Szczątki typów fredrowskich mogłem oglądać w klanie bliższych i dalszych wujów i ciotek. Ileż ich dostarczała bodaj sama obficie rozrodzona a tak wyrazista familia Dąbskich (przez *q* i *m*, koniecznie!). Sławna była w całej Polsee ówczesnej anegdota o owej pani Woźniakowskiej, która, na audiencji u papieża, obawiając się widać, że samo to nazwisko nie dość określi Ojcu Świętemu jej istotną pozycję na drabinie społecznej, dodała przy prezentacji z naciskiem: „née Dąbska”, na co papież miał gwizdnąć przeciągle „fiu, fiu!” i unieść się lekko z tronu. Ta druga część anegdoty jest zapewne zmyślona, ale pierwsza, o ile pamiętam tę ciocię, wydaje mi się zupełnie prawdopodobna. To była fredrowska niewiasta. „Kasztelanowa, co nie miała kasztelana”, mawiał o niej mój ojciec, który z temperamentu był znowuż dla mnie wcieleniem Cześnika Raptusiewicza, gdyby Cześnik Raptusiewicz został kompozytorem oper i dyrektorem konserwatorium muzycznego.

Niebawem objawił mi się Fredro przez teatr. Pamiętam Modrzejewską (byłem wówczas dzieckiem, a ona babką), jako Aniele, z dwoma warkoczami blond prawie do ziemi. O stylowych fryzurach wówczas się nie śniło, grano „Śluby panieńskie” jak zwykłą salonową komedię. Potem, z Tadeuszem Pawlikowskim, wielka, sensacyjna inowacja: Fredro stylowy, „Śluby” — empirowe! Potem z kolei Fredro „dix-huit-cent-trente”: panny w olbrzymich kokach (zapewne bardzo wiernych, ale fatalnie deformujących kobietę), Gucio kręcący kuperkiem i obnoszący swoje rajtroczki niby na pokazie mód dawnych. Potem zaczęła się era celebry: siedemdziesięciopięciolate „Ślubów”, stulecie „Geldhaba” etc., spektakle uroczyste, poprzedzane odczytami. Uff! Doszło do tego, że „Damy i huzary” stroił w Warszawskim Teatrze Narodowym najautentyczniej do ostatniego guzika specjalista od mundurologii napoleońskiej, zapominając tylko o tym jednym, że żaden major huzarów, w czasie starokawalerskich wywczasów na wsi, nie ubiera się sam dla siebie w opięty mundur galowy od rana. Widziałem większe dziwy: „Zemstę”, w której, zanim Cześnik siądzie do polewki, przesuwa się przez scenę ksiądz wracający z kielichem św. od ołtarza z zamkowej kaplicy: zdobyc inscenizacyjna świątobliwego Osterwy. I wreszcie, jakby przez reakcję na te uroczyste figle — na które publiczność odpowiadała dyskretnym ziewaniem, często nieobecnością, — buchnął gdzieś na Powiślu szeroki śmiech Fredry „odbronzowanego” — jak go nazwał Jaracz: Fredro zgroteskowany, odszlachcony potrosze, ale młody, rozbawiony sam sobą, po dawnemu wesóły. (Oj, dalaż mu za to przysięgli fredrologowie!).

(Tadeusz Żeleński-Boy „Obrachunki fredrowskie”)

Przedstawienie prowadzi:
Barbara Dąbrowska

Sufler:

Nina Górna

Światło:

Bronisław Hajduk
Marian Bartkiewicz

Rekwizytor:

Halina Meier

Brygadier sceny:

Maksymilian Kitowski

Kierownik techniczny:

Stanisław Matysik

Główny elektryk:

Tadeusz Kubacki

Kierownicy pracowni krawieckiej:

Olga Ludmerowa

Tomasz Sz wajkowski

Kierownik pracowni stolarskiej:

Władysław Majchrzak

Kierownik pracowni malarskiej:

Edmund Nowakowski

Kierownik pracowni tapicerskiej:

Stanisław Włodkowski

Kierownik pracowni perukarskiej:

Nina Polonis

Kierownik pracowni szewskiej:

Jan Czesnowicz

Modelator:

Marian Kujawski

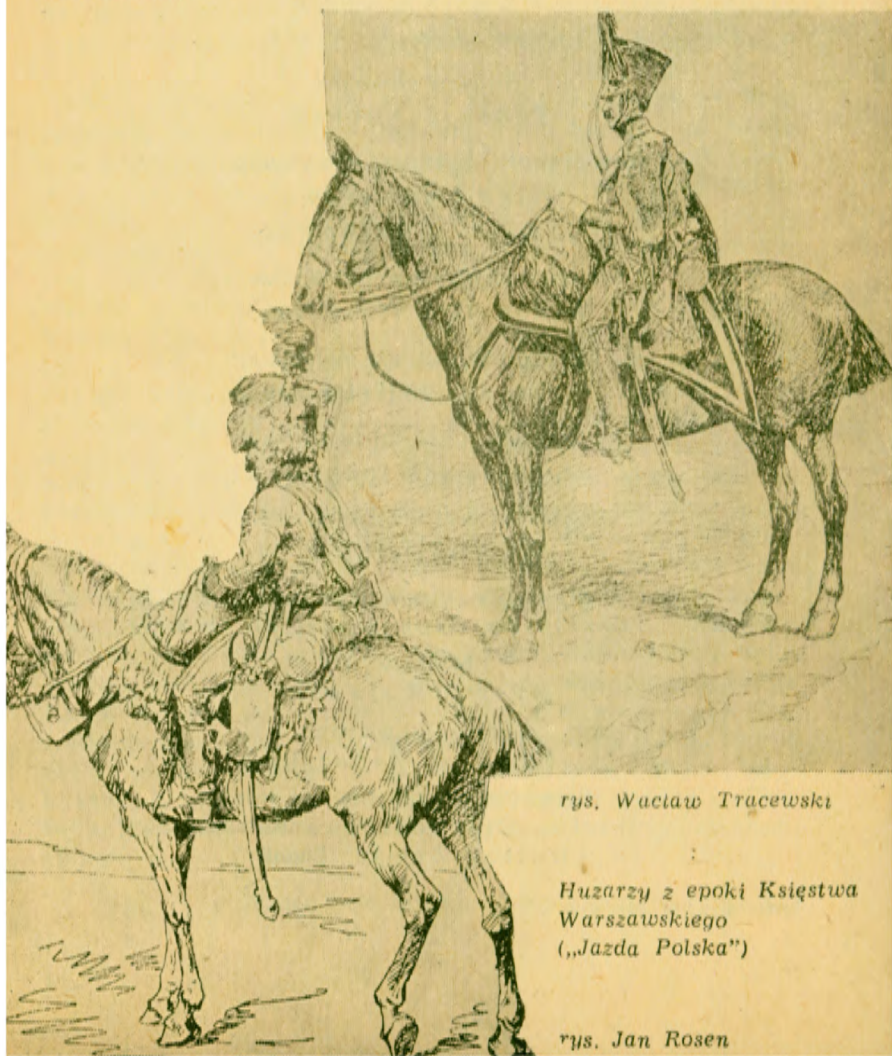
Główny rekwizytor:

Czesław Mederski

Kierownicy administracyjni scen:

Halina Ciechocińska (Gdańsk)

Halina Zemło (Sopot)



rys. Wacław Tracewski

Huzarzy z epoki Księstwa
Warszawskiego
(„Jazda Polska”)

rys. Jan Rosen